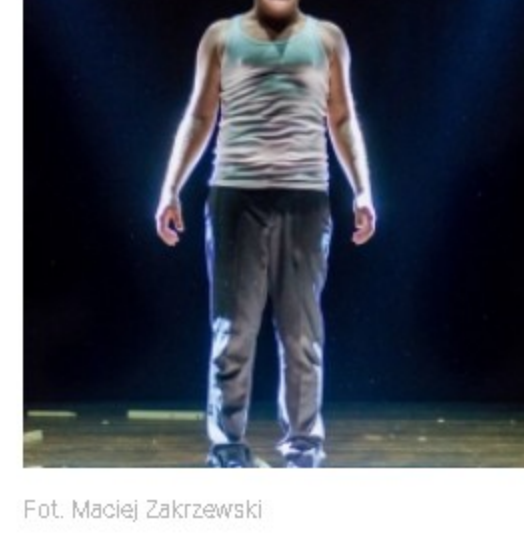


Estetyka i etyka – tkliwa dynamika

JULIUSZ TYSZKA Profesor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, doktor habilitowany. Teatrológ.



Fot. Maciej Zakrzewski

Na początku zabawia nas showman-kabareciarz-konferansjer – taki, co to i dowcip opowie, i zanucić coś potrafi, co nawiąże żywy kontakt i nigdy nie pokaże oznak zmęczenia, chociaż bez przerwy podskakuje i macha rękami niczym hinduska bogini Kali. Dopiero po paru minutach, stopniowo, ów niestrudzony wesółkowaty zabawiacz zdradza nam – dyskretnie i nie wprost – że tak naprawdę jest wcieleniem marzeń sparaliżowanego nastolatka, którego nogi – blade i bezwładne – leżą na łóżku jak kłody drewna.

Wojtek stracił wskutek wypadku także zdolność do wydobywania z siebie artykułowanej mowy. Naszym pierwszym ciężkim nokautem estetycznym jest zademonstrowana bardzo nagle, bez ostrzeżenia i bez krępacji, metamorfoza hiperaktywnego, wesółkowatego zagajacza w bezwładnego, bełkocącego niezrozumiale kalekę.

Po chwili dochodzi do nas, że te dwa wcielenia aktora Łukasza Chruszcza (także reżysera tego spektaklu) to przecież jedna i ta sama osoba, tyle że podzielona na byt realny oraz idealny – wymarzony, wyśniony, potencjalny. Bo czyż nasz bohater nie mógłby stać się kiedyś takim właśnie sprawnym, kontaktowym konferansjerem, gdyby nie tragiczny, nierozważny skok do wody na główkę?

Sprawy się komplikują, gdy do akcji wkracza ona (Anna Langner) – starannie uczesana i umalowana młoda kobieta. Jej wstrząsające monologu podwyższają napięcie wśród widzów, a zarazem rangę spektaklu o kilka poziomów. Najpierw jest dziewczyną kaleki z czasów, kiedy był jeszcze sprawnym i normalnym, która szczerze wyznaje, że nie może znaleźć „godnego”, bezbolesnego sposobu, aby teraz go opuścić. Nie ma w niej czułości, zapasy współczucia już dawno się wyczerpały, pozostaje coraz gwałtowniej wyrażane rozczarowanie, że ta fajna, młodzięca, przesycona wzajemną fascynacją przygoda tak się strasznie i głupio kończy. I podszyte zniecierpliwieniem obrzydzenie, którego już nie jest w stanie ukryć, gadając do bełkocącego, nieruchomego chłopaka.

Kolejnym wcieleniem tej eleganckiej kobiety jest opiekująca się Wojtkiem matka. Jej zapas miłości oraz instynktu macierzyńskiego też się powoli wyczerpuje. W wypowiedzianym przez nią niespiesznie monologu dominuje zmęczenie, rozpacz i beznadzieja. Pretensje o młodzieńczą lekkomyślność i brawurę syna już dawno i wielokrotnie zostały wykrzyżowane, pytanie „dlaczego akurat ja?” zostało już zadane sobie samej setki razy, teraz matka może tylko beznamytnie, rzeczowo snuć opowieść o tym, co czuje i o czym marzy. Jej marzenia nie sięgają poziomu wizji, że Wojtek będzie wyleczony, zdrowy, sprawni. Już dawno je stłamsiła i usunęła w głąb świadomości. Matka po prostu marzy o normalnym dniu – bez zmieniania pieluch, bez rutynowej, uciążliwej krzątania wokół bezwładnego ciała, bez dzwigania, sprzątania i ciągłego myślenia, jak choć na chwilę uciec od tej codziennej męki albo przynajmniej znaleźć jakieś cudowne sposoby na jej radykalne zmniejszenie.

Wojtek jest tu, owszem, jej dzieckiem – ukochanym, dotkniętym nieszczęściem, pogrążonym w codziennej beznadziei, której koniecznie trzeba ulżyć, bo to jest matczyzny obowiązek; a zarazem jest straszliwą przeszkodą, uniemożliwiającą matce powrót do normalnego życia. I kobieta bardzo precyzyjnie, bezlitośnie formułuje to oskarżenie.

Anna Langner gra – podobnie jak Łukasz Chruszcz, zagajacz-konferansjer – nie tyle realne postaci obu kobiet, ile ich wewnętrzne, niewypowiedziane, utajone wcielenia, będące emanacją ich skrytych uczuć, marzeń i zamierzeń. Czyny to powściągliwie, w bezruchu, siedząc na kuchennym stole – jedynym, oprócz okalających scenę czarnych kotar, przedmiocie, który można tu nazwać „elementem scenografii”. W obszernej przestrzeni Sceny Wspólnej wszystko jest wyciszzone, wygaszone, podporządkowane jak najbardziej pośredniemu kontaktowi aktorów z widzami. Dzięki temu okrutne monologi obu kobiet, choć wypowiedziane cicho, wybrzmiewają donośnie, niczym salwy plutonu egzekucyjnego.

I trafiają, bo sparaliżowany chłopak przecież wszystko słyszy, rozumie i odczuwa, tyle że nie może na te wynurzenia reagować – ani ruchem, bo siedzi bezwładnie na łóżku i może co najwyżej machać rękami (tylko po co?), ani słowem, bo nikt nie zrozumie nieartykułowanych, rozmamłanych dźwięków, które z siebie wydaje. Co innego to drugie wcielenie – konferansjer kaleki w świadomie i perfidnie nakazuje kalekiemu ciału przez nieznośnię długą chwilę rzucić się i bełkotać, co daje dziewczynie wygodny pretekst, by na zawsze opuścić niesubordynowanego, nieopanowanego i skrajnie już nieestetycznego chłopaka, a raczej to, co z niego zostało. A potem już on sam – showman, czyli dziko sprawne, ruchliwe wcielenie bezwładnego ciała i wciąż żywego ducha, w ataku szału rozwała kuchenny stółek, dając fizyczny, namacalny wyraz frustracji swego kalekiego wcielenia z realnego świata. Świat ów jest okrutny, ale na szczęście nie jedyny i można z niego uciec w krainę konferansjera-zabawiacza, gdzie wody są głębokie, dno dalekie, gdzie można żyć godnie i normalnie, być cudownie sprawnym człowiekiem sukcesu i odkuć się na dziewczynie za jej brak empatii oraz na matce za jej zmęczone, chwilowe okrucieństwo.

Inscenizacyjna skromność jest wielką zaletą tego spektaklu, w którym liczy się przede wszystkim słowo – celnie miotane, trafiające bezbłędnie we wrażliwość widzów. Wystarczy pozwolić mu wybrzmieć, nie przeszkadzać w jego magicznym działaniu, a wszystko toczy się swoim dobrze wyłożonym torem ku artystycznemu spełnieniu.

Moje wątpliwości wzbudziły dwie kwestie: po pierwsze niezbyt fortunne wydało mi się nawiązywanie przez aktora bezpośredniego kontaktu, a nawet dialogu z widzami. Owszem, wyciągnięcie Anny Langner z trzeciego rzędu widowni jako niby-to- przypadkowej, chwilowej aktorki-pomagierki jakoś tam się broniło, bo było czytelnym sygnałem, że każdego i każdą z nas może spotkać nieszczęście i że „nie znamy dnia ani godziny”. Gdy okazało się, że ta „przypadkowa” osoba to aktorka, która udawała zażenowanie i mówiła nie swoim, a niby to prywatnym tekstem z dramatu Maliny Prześługi, nie odczuwałem (chyba jak i większość współwidzów) jakiegось wielkiego dyskomfortu, chociaż pozostały lekkie wątpliwości co do sensu takiego pseudoawangardowego chwytu z brodą.

Wątpliwości się wzmogły, gdy Chruszcz kilkakrotnie zwracał się bezpośrednio do widzów, nawiązując z nimi dialog i nakłaniając niektórych z nas do wypowiedziania dyktowanych przez siebie tekstów. Nie mogłem przecież sobie objaśnić, po co to wszystko, bo czemu wiedzieć i jak ma „móc wzmóc” i tak już przecież intensywną, bogatą wewnątrznie komunikacyjną grę aktora z widownią.

Teraz po drugie i ważniejsze: gdy do tej zbędnej, moim zdaniem, bezpośredniości doszedł jeszcze otwarcie wyeksponowany chwyt złamania teatralnej iluzji, poczułem już bardzo wyraźny widzowski dyskomfort. Po co aktor przyznaje się widzom, że jest aktorem i zachęca nas niby-prywatnym tekstem, żebyśmy zastanowili się nad etycznym sensem opowiedzianej nam przez niego-aktora historii? Po co wychodzi z bezpiecznego kokonu świetnie napisanej i zagranej postaci zagajacza-kaleki, żeby nas zachęcić do czynnej reakcji na cudze nieszczęścia w realnym życiu? Czy nie wystarczy mu, żeśmy już tę historię głęboko przeżyli, między innymi za sprawą sugestywnej gry jego i partnerki? Czy trzeba nas aż tak nachalnie zachęcać do czynu poza teatralną salą? Toż to jawny dydaktyzm!

Najgorsze jest zaś to, że przecież to nie jego-aktora prywatny tekst. Owszem, on może się z nim utożsamiać, ale nie da się też ukryć, że jest to tekst uprzednio napisany przez panią dramaturżkę, a potem wykuty przezeń na blachę i wyszlifowany podczas wielu prób w swej dusząco-przekonującej perswazyjności. Aktor mówi „ja”, ale tak naprawdę kto do nas przemawia? Kto się z nami komunikuje?

Gdy się zwracamy do widzów bezpośrednio, w swoim imieniu, ale nie swoim własnym, osobistym tekstem (choćby improwizowanym, dlaczego nie?), to są komplikacje, bo brzmi to wszystko fałszywie. Kiedyś, w latach 60. XX wieku, w czasach *Publiczności zmyślonej* Handkego, był to ciekawy, nowatorski, kontrowersyjny chwyt artystyczny, ale dziś trąci już myszką.

W ten sposób wstrząsająca wymowa tego dramatu, zainscenizowanego i zagrane go z wielkim talentem, wyczuciem i poświęceniem, zostaje spłycona i osłabiona – tak jakby Prześługa-pisarka i Chruszcz-reżyser nie wierzyli w kataryczną moc rozpiętych przez siebie na widowni emocji oraz w siłę artystycznego przeżycia, którego miejsce jest w innym duchowym królestwie niż to, w którym wykują się etyczne zasady i nakazy.

Ale podobno wszystko to się sprawdza w kontakcie z widownią młodzieżową, dla której w głównej mierze spektakl jest przeznaczony. No, nie wiem... Na wszelki wypadek sprawdź. Także dlatego, że przedstawienie to jest w moim głębokim przekonaniu warte wielokrotnego obejrzenia i przeżycia.

6-02-2015

Centrum Sztuki Dziecka w Poznaniu
Malina Prześługa
Stopklatka
reżyseria: Łukasz Chruszcz
muzyka: Rafał Sekulak
kostiumy: Magdalena Chruszcz
obsada: Łukasz Chruszcz, Anna Langner
premiera: 27.01.2015

TAGI: [Malina Prześługa](#), [Centrum Sztuki Dziecka w Poznaniu](#), [Łukasz Chruszcz](#), [Anna Langner](#), [Poznań](#)

[Udostępnij](#) [Lubij to!](#)

SKOMENTUJ

Autor lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:
siedem minus cztery jako liczbę:

KOMENTARZE (0)

PRZECZYTAJ TEŻ

Juliusz Tyszk
Farsowa wyborność w umiarkowanym tempie

Juliusz Tyszk
Publiczność zmaltretowana

Juliusz Tyszk
Pozamiatane i zapomniane?

Juliusz Tyszk
Śmiesznie, ale bez szalu

Piotr Dobrowolski
Do szpiku kości

Joanna Ostrowska
Teatr pierwszego kontaktu

KALENDARIUM

28 V 2022
6. Przegląd Nowego Teatru dla Dzieci

03 VI 2022
28. edycja Międzynarodowego Festiwalu Sztuk Performatywnych A Part

19 VI 2022
Cykl "Bóg i proch" - część trzecia

BĄDŃ NA BIEŻĄCO

